Nr. 15. We Lwowie dnia 14. kwietnia 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

LEOPOLD STAFF.

Dzień duszy.

I.

Że zapracować sobie potrzeba pogodę
I ciszę jasną, ucz się — duszo — od wsi cichych,
Od starych krzywych pługów i lepianek lichych,
Co mieszczą już dziesiąte pokolenia młode.

Bo ich starości mądrość dostojna jest złotem.
A że kto ziemi wiernym być umiał, ten boży:
Niech ci chłop namuloną dłoń na czole złoży
I pomaże cię świętym utrudzenia potem.

I ślubuj twardej pracy wieczne niewolnictwo,
Co nie jest jarzmem, jeno dumą i nadzieją
Na szczęsne, zasłużone spoczynku dziedzictwo.

A kiedy w bezczynność znużenia zadrzemiesz,
Przyśni ci się i pracę przypomni ci lemiesz,
Boś jest z tych, którzy dzieło ukończyć umieją.

II.

Błogosławiona cisza wieczornej godziny,
Gdy już ustają trudem znużone ramiona,
Gdy pod ciężarem snopów skrzypią wozów dzwona,
A koła żłobią bruzdy głębokie wśród gliny;

Gdy jutra czeka zwleczon z szopy pług i brona
I ciemnemi skrzydłami wiać przestają młyny,
Gdy syte bydło pędzą do obór dziewczyny,
A krowy mają mlekiem brzemienne wymiona;

Wtedy nagrodę bierze każdy trud człowieczy,
Ziemia swą wdzięczność daje za znój ludzkiej pieczy.
Kto pracował w winnicy, nie jest bez zapłaty, —

Wtedy bezczynna dusza moja krzepi ręce,
Na twardy trud i marzy dożynkowe wieńce
I jakiejś wielkiej pracy zbiór bujny, bogaty.

III.

W żywiczną zieleń sosen mojej biednej strzesze
Stroję czoło, choć krzywa, zapadła i chroma.
W wnętrzu jej rozścielona rozzłoci ją słoma,
Ściany jej polnych kwiatów woniami owieszę.

Dusza ma w dom swój wraca z błąkań, a w uciesze,
Bo z plonem cierpliwego dnia pracy. Rękoma
Zakrywa zawstydzone oczy, bo się sroma,
Że tak nieufnie wiodła na rolę lemiesze.

Prowadzą ją mych tęsknot swaty dziewosłębie.
Znużona szczęściem pracy wiedzie w dom najcichsze,
Pogodne dziecię, radość — chwil dobrych podrzutka.

I jak kmieć po roboczym dniu na chaty zrębie
Siada, patrząc z pogodą, jak pora dnia krótka
A pilna złotem ziarnem napełnia jej spichrze.

IV.

Może kiedyś po długich dniach cierpliwej pracy,
Otworzywszy szeroko mej chaty zawory,
Patrzeć będę na pełne stodoły, obory,
Z sercem pogodnem, kornem jak pańscy prostacy.

I kiedy słońce chować będzie się za lasy,
Zwołam was wszystkich do mnie, tu przed wrota moje,
Łaknącego nakarmię, spragnionych napoję
I otworzę przed wami wszystkie me zapasy.

I błogosławić będę każdemu, kto wchodzi
Pod dach mój z prośbą. Bierzcie! Dla was pracowałem!
A kto bezemnie bierze, nie jest mi jak złodziej!

Mnie starczy dobre słowo od was i kęs chleba.
Jam szczęśliw, żem nauczon przestawać na małem
I że mi tych dobytków wszystkich nie potrzeba.

V.

A kiedy Bóg dopuści i grad przyjdzie z tuczą
I pościna przedwcześnie bezlitosną kosą
Zielone żyto, owies, pszenicę i proso,
Choć trzy dni o pogodę lud łka, dzwony huczą:

Wtedy z pokorą, której gniewy Pańskie uczą,
Opuszczę chatę, nędzarz w łachmanach — i boso
Sławiąc Pana, że kośbę mi wziął złotokłosą,
Całą nadzieję moją, synowską i wnuczą.

I u chat ludzi dobrej woli, gdzieś na progu
Pokłonię się, powitam cicho: „Sława Bogu“,
I będę żebrał chleba litośnych sąsiadów;

A gdy zelżywe słowo cisną mej siwiźnie,
Pójdę dalej, pogodny, modląc się za bliźnie,
By Bóg ich strzegł od ognia, zarazy i gradów.

O KRZYŻAKACH.

Przez

11) **Marję Konopnicką.**

Nic to, że nie w prostej linji. I owszem. Jest umyślny zamiar autora, w tym silnie położonym akcencie na samą naturę uczucia rodowości, które jest czemś innem zgoła, niż miłość ojcowska dla potomstwa. Jakoż Maćko przedewszystkiem miłuje i hoduje Zbyszka dla przyszłości, dla rodu. Dałby on jemu, żeby się z Jagienką nie ożenił, a nie napłodził „Gradów, jako gradu!"

„Hej, Grady! Grady!..." — To jest i troska, i utęsknienie, i nadzieja i najsłodsza wizja Bogdanieckiego władyki. To jest ta „radość na starość", o którą się Chrystusowi przymawia, i to jest owo ciche, złote mżenie zachodowej zorzy, w którem się stopi kiedyś dusza starego rycerza. Jedno mu tylko milsze nad te „Grady" — cześć „Gradów", rycerska cześć rodu.

A w tem nie ustępują sobie obaj władykowie. Choćby też Zbyszko „dwie głowie miał, i choćby mu kat obiedwie miał uciąć, nie zdejmie hełmu przed krzyżakiem" — na tynieckiej drodze. A Maćko też „nie dopuści tego, choćby ten ostatni z rodu zczeznąć miał!"

Chce Zbyszko pchnąć mieczem wziętego w jeństwo Zygfryda. Maćko nie daje, zmaga się z nim prawie po nieprzyjacielsku, i wykręca mu ramię.

— „Puśćcie! — woła Zbyszko — bo się dusza podrze we mnie!"

A Maćko:

— „Niech się podrze, nie puszczę! Wolej łeb rozbić o drzewo, niżbyś miał pohańbić siebie i cały naród!"

I oto złoty błysk, którym ta „Tępa podkowa", tak głęboko wbita barkiem swoim w dziedziczny Bogdaniec nagle obu jasnemi ocylami zwraca się wzwyż, i cała staje w słonecznem świetle „duszy powszechnej, niewstrzymanym pędem w wielkość idącej".

W przeciwstawieniu do Maćka, jest Zbyszko — cały czuciem obecnej, dotkliwej teraźniejszością swą chwili. Zbyszko ma rzut, polot, nagłość, bezpośredniość w cel bijącej strzały. Dla niego życie, to moment, który trwa, i który ani był, ani będzie, ale jest.

O śmierci nawet, która go od miecza katowskiego, „tak wszystko pomiarkowawszy", na pewne czeka, — iż mu nie stoi nogą na gardle, mówi obojętnie, ziewając: „Przyjdzie, bo przyjdzie. Ale może jutro, a może — pojutrze. Więc czegoż?"

Zaledwie ujrzał Danusię w tynieckiej gospodzie, już jej klęczy u czerwonych, szpiczastych trzewiczków i ślubuje nieszczęsne one pawie czuby.

Nie dlatego, iżby był gwałtownie kochliwy, ale dlatego, że najogólniejszym wyrazem jego młodej, rwącej z miejsca zaraz duszy, jest ruch i czyn natychmiastowy.

Zaledwie też z kolan po owem ślubowaniu wstał, wnet mu się ono, jako gdzieś w przyszłość sięgające czekanie na „czuby", wydaje nie do zniesienia. Więc i „ta radość, i duma i szczęście", które mu rozpierają serce, wszystko to bucha w jeden okrzyk niecierpliwej żądzy natychmiastowości:

— „Bywajcie, psubraty z pawiemi czubami! Bywajcie!"

Często Zbyszko sam nie wie, co mu jest, wie tylko, „że nie wytrzyma, że go palą ręce, i pali się w nim dusza cała." A to, że „nie wytrzyma", to nic innego, jak, że mu niepodobna przenieść czucia i woli w chwilę przyszłą — z obecnej, która — każda, i ile ich tylko jest w godzinie, w dniu, w życiu, zabiera sama dla siebie całą energję jego i całą istotę. Jeżeli zaś wypadki tak się składają, że Zbyszko musi mieć zamiar, i w cel przyszły patrzeć, jak naprzykład w poszukiwaniu porwanej Danusi, to cały ten zamiar i całe to patrzenie w przyszłość, zasadza się u niego na doraźnej akcji. Jakoż żal za Danuśką zmienia się w Zbyszku przedewszystkiem w żądzę natychmiastowej walki, w żądzę gwałtownego czynu. Ratunek zaś Danusi, przedstawia mu się „jako szereg bitek, w kupę, albo w pojedynkę."

Kiedy widzi po raz pierwszy królowę w kościele, zaraz mu serce jak płomień bucha żądzą jakiegoś doraźnego czynu. Zaraz chce „świętej pani" okazać czemś miłość, i cześć, i pokorę, „uczynić coś dla niej, gdzieś lecieć, kogoś popłatać, coś zdobyć, i samemu przytem karkiem nałożyć."

Owszem, chce „po mszy zaraz na koń siąść i coś zacząć."

Bo czyn i ruch; to w czuciu jego najwyższy wyraz życia, i wartości życia.

Siedzi oto w kaźni i na śmierć pewną czeka; wtem wchodzi Maćko:

— „A co tam na świecie? — pyta Zbyszko.

— Pogoda cudna, złota, słońce — aże całemu światu miło."

A Zbyszko z ogromną żądzą:

— „Hej, mocny Boże! Konia pod sobą mieć i jeździć po polach, po szerokich!"

Na co Maćko:

— „Giną ludzie i z konia."

A Zbyszko:

— „Ba! Ale ilu przedtem sami nabiją!"

Kiedy się rozprzęgły kniaźne Witołdowe wojska, a Zbyszko do dom wraca, chorzeje tyleż z niemocy, co i z bezczynu. Bo w tem sercu niema żadnych pól nieobsianych, martwych, żadnych pól inercji, po których by czas mógł

iść nie spiesząc i na których by życie odpoczywać mogło. Jakoż Maćko, wielki psycholog, stawia trafną djagnozę owej choroby Zbyszkowej:

— „Tobie się jedno skończyło, a drugie się jeszcze nie zaczęło.“

I prawda! Zbyszko nie może żyć ani wspomnieniem, ani też nadzieją. Wspomnienie, — nawet wspomnienie Danusi błękitnieje mu prędko w duszy z barw ziemskich w kolory niebieskie, bo i ziemia, jak życie, wyraża się u niego bijącą właśnie godziną i chwilą, a wszystko co nią nie jest, przechodzi w polu jego widzenia z dotkliwej rzeczywistości i żywego czucia, w jakiś transparentowy obraz „na gotyckiej szybie.“

A to tak dalece, że w pojedynku z Rottgerem zapamiętywa się w samej walce, jako w ruchu i w czynie chwili, aż do utraty świadomości pobudek walki, jako już po za tą chwilą leżących, co ciosom jego wprost odbiera — natchnienie śmierci. I dopiero głosy, wołające z krużganków dziedzińca:

— „Za Danuśkę, Zbyszku! Za Danuśkę“, pobudki te, doraźnem wrażeniem, przytomnemi mu czynią, i zamieniają miecz jego w piorun na głowę Rottgera.

Tyle co do wspomnień.

Co zaś do przyszłości, to gdy umierająca Danusia otwiera na chwilę oczy, a Zbyszkowi rzuca się z piersi ów złoty „rój słów prędkich, krótkich“, któremi ją chce przytrzymać na ziemi, i wymalować jej jasną nadzieję, całą przyszłość zamyka w jednym obrazie „szczęśliwości, jako te wody nieprzepłynione“, więc takie, które w każdej chwili są obecnym, żywym ruchem, i płyną, płyną, płyną...

Gdy zaś już Danusi niema, a Jagienka pyta go: co z sobą pocznie po wykupieniu Maćka z niewoli, Zbyszko wybucha w jakiemś niepohamowanem wzburzeniu:

— Nie wiem! Chryste miłosierny! Zkądże mam wiedzieć?

To przecież wie, że gdy go chwyci wielka, wielka wojna i sam się w niej straci, i żałości zbędzie, i duszy w niej zabaczy, właśnie jakby w wielkim wichrze, albo w wielkiem świetle. A to, że o tem wie, że czuje, iż są rzeczy, w których można i duszy zabaczyć, i stracić samego siebie, że ku tym rzeczom wielkim, pędem niepowstrzymanym idzie, jako żywy płomień, — to właśnie godnym go czyni stać wpośród tych, do których twórca „Krzyżaków“ obróci się zaś i rzecze:

...„Tobie wielka, święta przeszłości, i tobie krwi ofiarna“...

— — — — — — — — — — —

(C. d. n.)

2) WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Pewnego dnia...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie, maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się po wszystkiem... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatemi kołami maszyn... zadygotały żelazne bestje, zatrzęsły się ściany, pochylili się ludzie. Ruch pierwszy, jakby pod uderzeniem maczugi, mgnienie wahania, cichy jęk oporu, stłumiony oddech maszyn i ludzi, przyduszony skrzyp, jakby rzężenie wysiłku, a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn, w ruch puszczonych.

— Winda! czwarta! — huczał głos ponurem echem w tej głębokiej ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował pan Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pająk po sieci rozpiętej.

— Winda, farbiarnia!

Zapadał znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migały mu przed oczyma, jak w kalejdoskopie, piętra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Minął suszarnię, jasną, zróżowioną blaskami poranku strefę, która owiała go rozpalonem, straszliwie suchem powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez apreturę, przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyziewów prasowanych materjałów, i przez szary, rozłzawiony odblask dnia trzeciego piętra; przedzierał się przez postrzygalnię, przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w którym połyskiwały zimno, długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli jakby w tumanie śnieżnym — niby gorączkowa wizja rozszalałej w męce pracy fabryki.

A potem, niżej jeszcze:

— przez tralnię; przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów; przez sieć pasów i transmisji, co tysiącami ramion, niby głowonogi potworne, dusiły wszystko, obejmowały sobą, goniły, chwytały, spadały z pod sufitów, biegły przez piętra, przez mury, przez dziedzińce i zdyszane a niezmożone rzucały się na wały, na koła, ześlizgiwały się, podnosiły, okręcały wszędzie i przeniknięte mocą straszną, rozszalałe, dzikie w swej potędze — przepełniały fabrykę przyciszonym, a strasznym krzykiem tryumfu!

A potem niżej jeszcze —

— na samo dno fabryki; tam gdzie już nie było świtania, ani dnia, ani nocy — do farbiarni, gdzie światła gazowe w tumanach par kolorowych, rozkrążały tęczowe, przegniłe blaski; w monotonny plusk płuczkarń, w chlupot rozstrzepywanej bezustannie wody, w gryzące zapachy farb gotowanych, w jęk przeciągły maszyn, w chaos krzyków, ruchów i barw zmatowanych, w nadludzki spazm wysiłków maszyn i ludzi.

— Winda! — grzmiał krzyk z góry, a pan Pliszka pociągał za sznur i jechał; przejechał znowu te cztery piętra — strefy, zabierał ludzi, towary, wózki, przystawał na mgnienie przed otworami sal, zapadał w noce, w mroki, w świtanie, wynurzał się w brzaskach dnia na wyższych piętrach, widział słońce w suszarni i czarną linję lasów dalekich, widział młode liście topoli niżej, widział przymglone sadzawki jeszcze niżej, a potem ogarniała go noc i majaki maszyn kołysały się w cieniach i w pakach sal dolnych, a on jechał jednako cicho, powolnie, automatycznie...

Pan Pliszka jeździł już tak lat dwadzieścia. Nie chorował nigdy, nie brał urlopu nigdy. Był najstarszą maszyną fabryki, tylko maszyną, bo już zwolna zapominał o sobie, o własnem życiu, a chwilami już nie wiedział, czem był kiedyś i gdzie? Nie myślał już i nie marzył, nie mógł nawet, bo ilekroć siedział wieczorem w swojej izbie, to zapadał w dziwny stan kontemplacji maszyn — czuł wtedy w sobie cały ruch fabryki, przesuwały się przez jego duszę nieskończone zwoje pasów, migotały zmatowane barwy materjałów, drgały ruchy maszyn, podnosiły się w nim koła pełne błysków stali, okrywał go dziwny, przyduszony tuman krzyków fabryki, migotały w nim, jak cienie nikły, jak cienie zapamiętane sylwetki ludzi — a wszystko przyciszone, a tak wyraźne, tak żywe, tak jasne, że nieraz bał się poruszyć, aby nie być stratowany przez te potwory, które w nim się przewalały, które w nim żyły.

I zwolna, zwolna żył tylko życiem fabryki, rozumiał i odczuwał tylko życie maszyn, i o nich tylko myślał, a myślał z trwogą i czułością niezmierną.

Cóż go obchodzić mogli ludzie, którzy, jak fala, przepływali tylko przez fabrykę, cóż go mogli obchodzić ci ludzie, którzy, jak psy, warowali na usługach maszyn, którzy, jak nikłe cienie, tulili się trwożnie do kolosów; służyli im, zależeli od nich, żyli z łaski tych potężnych, tych nieśmiertelnych i tych strasznych w swojej mądrości i potędze...

Uśmiechał się pogardliwie, patrząc na ich pogięte ciała, na ich trupie, wycieńczone twarze, na ich spracowane ręce... czemże byli wobec tych potężnych, których stalowe połyskliwe ciała widział ciągle, czemże byli wobec sił tamtych? marnością, pyłkiem, głupstwem...

Przez dwadzieścia lat pan Pliszka widział już dziesiątki tysięcy tych ludzkich nędznych istnień, wyżętych przez maszyny, niby łachmany, i wyrzuconych na śmietnik; a maszyny były, a fabryka trwała.

Pogardzał też ludźmi, a wielbił maszyny.

I żył coraz głębiej życiem fabryki.

(C. d. n.)

Z teki pośmiertnej. *)

Gustaw Lubicz Grochowski, zmarły 19-go września r. 1900 w majątku swoim, Trościańcu, był prawnukiem jenerała Józefa Grochowskiego, który walczył zaszczytnie pod Kościuszką za wolność Ojczyzny i poległ pod Szczekocinami śmiercią walecznych. O tym przodku swoim i o innych, ś. p. Gustaw tak opowiada z humorem w pozostawionym w tece pośmiertnej dzienniczku, w którym naśladował styl pisarzy epoki Zygmuntowskiej:

„Rodzina Grochowskich, później na Rusi osiadła, herbu Lubicz, originem suam ma na Litwie, gdzie też część ich — familjami możni, jak słyszałem — pozostała. Sławnych ludzi też nie brakło tej familji, boć nie wiem, czy kto nie słyszał o X. Stanisławie Grochowskim, co krotofilne wierszyki, a satyry układał, a potem znów o onym generale Grochowskim, co pod komendą pana Kościuszkowską mężnie stawając przeciw nieprzyjaciołom Ojczyzny, pod Szczekocinami waleczną

*) Żałobna draperja śmierci osłania drobne usterki puścizny literackiej, a podnosi jej zalety. Żal za tymi, co odchodzą młodo, nie tknąwszy prawie czary życia spragnionemi usty, chęć utrwalenia ich śladów na tej ziemi czynią pamiątki po nich drogiemi. To też nie wolni jesteśmy od wzruszenia, podając Czytelnikom „Tygodnia“ parę ulotnych utworów niedawno zmarłego Gustawa Grochowskiego, które poprzedza wspomnienie, skreślone ręką osoby najbliższej zmarłemu. *(P. R.)*

poległ śmiercią. A zaś rodzina matki Heleny z Lassotów-Kalińskich z niepośledniejszej i zgoła zacnej krwie się wywodzi; którzy Lassotowie herbu Rawicz (Goworkami dawniej ich zwano), sławnych miewali ludzi, jako on Stanisław, sekretarz króla Zygmunta Augusta, poseł na dwory portugalski i angielski, którego król portugalski in confraternitatem przyjął, jako o tem Paprocki obszernie pisze. A już zgoła najsławniejszy był on jeszcze pogański bałwan Lassota (co bożka leśnego znaczyło), któremu cześć boską ojcowie nasi oddawali, gdy jeszcze w sprośnościach bałwochwalczych trwali".

Owoż i ś. p. Gustaw odziedziczył po swoich przodkach zmysł krytyczny, zdolność do pióra, oraz humor wesoły i kostyczny, co cechowało wszystkich Grochowskich. Jednak warunki bytu, przedwczesna śmierć ojca, troska o matkę i walka o byt, zmieniły go z czasem do tego stopnia, że cokolwiek wyszło z pod jego pióra, nosiło cechę tęsknoty za spokojem i ciszą, którą tylko śmierć dać może. Nastrój ów przebija we wszystkich jego utworach, najwymowniejszy jednak wyraz znajduje w zwrotce następującej:

„Gdy liśćmi nad grobem wiatr zakołysze,
Niechaj łez żalu nikt za mną nie roni,
Bo czegom pragnął, znalazłem: — w ustroni
Spokój i ciszę".

Wrażliwa jego natura poety wcześnie doznawać zaczęła rozczarowań wobec twardej rzeczywistości, tak niepodobnej do świata marzeń. Ślady tego pozostały we wspomnianym dzienniku, w którym tak między innemi pisze:

„Przez lata dziecinne, kiedy to zgoła najbujniejsza u człeka jest fantazja, umysł mój pojony był opowieściami o czynach przodków naszych i sławie ich niepomiernej; takci i ja w swoich dziecinnych zachciankach zapragnąłem sławy, i takem myślał, że jeno z dziecinnych lat wyjdę, muszę dopiąć, jako nasi przodkowie ją zdobywali. Ano pokrótce się przekonałem, że marzyłem o tem tak, jako insze błazenki one o księżycu, coby go z cebra dostać chciały. Bo już i czasy insze i nie potemu stosowne, aby tak się, jako nasi ojcowie, odznaczyć i nie tacy ludzie, jako dawniejsi bywali, co krwie swojej i mienia dla Ojczyzny nie skąpili, jedno homines novi, co z nich każdy przed się jeno patrzy, coby dla siebie wziął, a namiętnościom swoim zadość uczynił, a mało takich, co przodków swoich śladami idą, co dawnej wiary się trzymają, co o dobro Ojczyzny naprawdę dbają, a nie blichtrem a wielą słowami i krzykactwem wojują."

Obok zamiłowania do pracy literackiej, ś. p. Gustaw odznaczał się wielkiemi zdolnościami do muzyki. Mając lat cztery i nie umiejąc jeszcze nawet dobrze pisać, grał z nut na skrzypcach. W gimnazjum już próbował pióra, zaczął (jak zwykle młodzi) od poezji, na wydziale zaś prawniczym będąc, pisał nowele, tłumaczył Edgara Allana Poe, i zebrał obszerne materjały do powieści historycznej, osnutej na tle wyprawy Mieleckiego na Wołoszczyznę r. 1572, nakreślił nawet jej plan, lecz nie wykończył. I później najmilszem dla niego wytchnieniem była poezja, pozostawił wiele ulotnych wierszy, sonetów, oraz tłumaczeń z Heinego.

Jakkolwiek ukończył wydział prawny na uniwersytecie lwowskim, nauki przyrodnicze nie były mu obce. Zajmował się niemi z prawdziwem zamiłowaniem. Z bratem swoim, przyrodnikiem, odbył w celach naukowych kilka podróży i pomagał mu w robieniu zbiorów zoologicznych. Zwiedził przy tem Wrocław, Poznań, Kruszwicę, Peszt, Fiume, Cherso, Porto-Re, Abazję, Tryest i Wenecję. Po skończeniu praw, objął w zarząd własny majątek, chcąc ulżyć matce i mając zamiłowanie w życiu wiejskiem. Lecz tu napotkał trudności, przechodzące siły jego i moralne i fizyczne. Praca nad rolą, uciążliwa i wyczerpująca, a w obecnych czasach tak niewdzięczna, chęci podniesienia i umoralnienia ludu, prawie bezowocne, wyczerpały i tak już wątły organizm. W warunkach podobnych gospodarstwo stało się dla niego rzeczą prawie niemożliwą; będąc z natury nadzwyczaj łagodnego usposobienia i czystego, niczem nieskalanego charakteru, nie mógł znieść ciągłej szermierki z brutalną siłą „walki o byt". W ciągu tych pięciu lat, spędzonych na wsi, jedyną jego pociechą była praca umysłowa. Pisał też i czytał więcej, niż kiedykolwiek. Na rok przed śmiercią, przeniósł się do Lwowa, gdzie otrzymał posadę w Banku krajowym. Niedługo jednak wytrwał na tem stanowisku. Choroba zmusiła go do powrotu na wieś — do Trościańca, gdzie też śmierć położyła wkrótce kres młodemu życiu, które było jednym szeregiem walk wewnętrznych, nieurzeczywistnionych porywów, nieziszczonych marzeń...

* * *

Sonety.

I.

Nad ziemią, jakby we śnie złowrogim uśpioną,
Rozpostarł skrzydła spokój martwy i ponury,
Po niebie z głuchym szumem przeciągają chmury,
Jakby chciały je okryć tajemną zasłoną.

Już padł grom. I wnet burza jak lekkiemi pióry
Gnie gałęźmi ze siłą je łamiąc szaloną,
I zdarty kwiat i liście pędzi w dal zamgloną
Kurzawy, — w dół je miota, to wznosi do góry.

Lecz wnet cichnie szał burzy; znów spokój w naturze,
Tylko znać na niej ślady dzikiego zniszczenia,
Tak, kiedy duszę schwycą dzikie życia burze.

Drży strwożona i miota się pośród zwątpienia,
I chociaż wśród tych walk i zapasów nie kona,
Wstaje odarta z kwiecia — nawpół zwyciężona.

II.

Gdy duch mój tonąć będzie w nicości na wieki,
Nie pragnę przebaczenia za spełnione grzechy,
Ni, by mi ze słowami szyderczej pociechy
Zamykał człowiek oczu gasnących powieki.

Lecz umrzeć chcę i spocząć z daleka od ludzi,
Co serce me i duszę za życia zatruli,
Niech grób mój dzika brzoza swym cieniem otuli,
W cichej pustce, której świat oddechem nie brudzi.

I tylko we dnie słońca blaski promieniste,
W nocy księżyc i błękit gwiazdami zasiany
Niech świecą nad mogiłą, co me skryje kości.

W wiecznych marzeń przestworza rozpłynę się mgliste,
Do których duch mój tęskni na ziemi zbłąkany,
W pełną cichej rozkoszy otchłań i nicości.

Gustaw Grochowski.

13)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Deszcz lał rzęsisty, echa grzmotów huczały przeciągle w chmurach, zamroczony świat rozjaśniały co chwila ogniste wstęgi błyskawic. Z lasów górskich szły w niebo słupem białe opary, niby dymy niezliczonych jakowychś pożarów.

Wśród tej słoty i rozpasania żywiołów, oddział Przybka pomykał przez lasy i nasycone wilgocią pola, kierując się ku Poczynowicom. Zastęp ów najdzielniejszych, bojowym duchem ożywionych Chodów, liczył przeszło sto głów i był rozdzielony na dwa hufce pomniejsze. Pomiędzy pierwszym a drugim sunęły wozy z kobietami i dziećmi, których mężowie nie chcieli pozostawiać w lesie. W jednej z takich fur znajdował się stary Przybek z Maryną. Kiedy Maciej doradzał mu na węglowisku, aby pozostał wraz z wnuczką w lesie, bo w Poczynowicach musi przyjść do krwi rozlewu, stary nie chciał o tem ani słyszeć, a mężna Marynka podzielała w zupełności jego zdanie.

— Niedoczkanie ich, abych uginał przed nimi stare kolana! — mruczał z zaciętością starzec, włażąc na wóz, którym teraz dojeżdżał do Poczynowic. Wiatr rozwiewał mu długie, śnieżno białe włosy i deszczem bił w twarz, zmarszczkami zbrużdżoną, on jednak zdawał się tego wcale nie odczuwać. Siedział nieruchomy, jako posąg, z oczyma utkwionemi posępnie przed siebie; myśl jego błądziła widocznie w zaświatowej jakiejś dali...

Ponieważ młody Szerłowski kierował wozem, którym jechał stary Przybek z Marynką, więc Maciej wziął znowu chorągiew chodzką. Niósł ją, o ramię opierając, zmokłą, obwisłą, i przypomniało mu się nagle, że z rana jeszcze tego samego dnia powiewała radośnie w słonecznem powietrzu... Hej, z rana biły też we wszystkich piersiach serca odważne, męskie, dopóki wieści, przez Sykę przyniesione, nie zmieniły ich w zajęcze... No ale w tej chwili spotyka ich zapewne kara zasłużona...

Mrok zapadał, gdy Chodowie wkraczali wraz z wozami do Poczynowic. Deszcz już nie lał, lecz niebo było posępne i gęsta zasłona mgły okrywała szczyty olbrzymów szumawskich.

Po kilkudniowem naprężonem czuwaniu w lesie i forsownym marszu w słotę, suche, ciepłe, a zwłaszcza gościnne izby poczynowskie wydały się podróżnym nadzwyczaj miłemi. To też większość padła bezwładnie na posłania wnet po wieczornym posiłku i usnęła snem kamiennym. Na wójtowstwie jednak gdzie się zgromadzili u starego Szerłowskiego najwybitniejsi z miejscowych i przybyłych górali, światło w oknach błyskało do późna w noc.

Narada trwała długo, ale uchwała powzięta w nie wielu dała zamknąć się słowach, postanowiono bowiem nie poddawać się ani Lammingerowi, ani wojsku, które — według ogólnego mniemania — przez niego było przysłane.

Było już dobrze po północy, gdy Maciej udał się na spoczynek, obszedłszy wpierw z młodym Szerłowskim całą wieś i wszystkie straże, z miejscowych górali porozstawiane. A świt nie srebrzył jeszcze nazajutrz nieba, gdy olbrzymi Chod znowu już był na nogach i budził gazdów i chłopów, aby wstawali do roboty, do zamykania i tarasowania wszelakich przejść, do wsi prowadzących, a więc gościńca, wązkich uliczek między stodołami, do pola otwartych i wszystkich przegonów.

Część wsi spała jeszcze i przygotowania nie były ukończone, gdy nadbiegli nieoczekiwani goście i pomocnicy zarazem. Była to gromadka górali z Chodowa i Postrzekowa, którzy dziwne przynosili nowiny.

Wczoraj jeszcze należeli do tych, co utrzymywali, że poddanie się jest konieczne, wszelki zaś opór pociągnie za sobą nadaremne ofiary. A dziś rozpowiadali Chodom, którzy się dookoła nich zgruchnęli, jak pięknie pan starosta ich wynagrodził za pokojowe usposobienie. Gdy przyszli do niego z prośbą i pokorną obietnicą, że wrócą do domów, byle jeno wojsko opuściło wieś i nie czyniło im szkody, starosta jął okrutnie na nich

się srożyć, a potem kazał wszystkich uwięzić i wysłał pod dozorem wojska i nietylko to ich samych, lecz dołączył do nich po kilku z każdej wsi.

— Kanyż ich wysłał? — kany? — pytali wzburzeni Chodowie.

— Do Pilzna, Strzybra, Tyna...

— Czemu aże w telo miejsc? Abo to nie dość haresztów w Pilznie? – zdziwił się Szerłowski.

— A toć przecie więcej, niż siedm dziesiątków, zabrali! – wybuchnął jeden z przybyłych.

— Jako my ino uwidzieli, co się dzieje, wzięli-ch my wnetki nogi za pas. Radziej dam się ubić, aniżeli-bych miał siedzieć w hareszcie, kany będą nas trapić, a potem może jeszcze obwieszą — dodał inny. — To mi dopiero wielga łaska pańska! A to wszystko temu, żech my się tak wnet poddali!

— Tera toby wszyscy radzi haw być! — zawołał trzeci z nawróconych.

— Hej, a wtedy byłoby nas śtyry setki! — westchnął Przybek. A kany je tera wojsko?

— W każdej wsi stoi telo kielo wojaków, hale w Ujezdzie jest ich jako mrowia. Ludzie powiadają, jako hań już ostaną, coby rebeljantów warowali.

— A nascy w lesie?

— A cóżby? — Baby hań płaczą a biadkają... I jakożby naczej, kie chłopów im wzieni, a wojacy w chałupach? I gazdów wiela po lasach się błąka. Umykają snać do Bawarji..

— Hej, niedoczkanie ich, aby i my ostali i twarde karki przed panami pochylili! — zawołał Przybek z uniesieniem. Oczy mu gorzały, jak rozżarzone węgle.

Cała ta rozmowa toczyła się na wójtowstwie. A w chwili, gdy Przybek powstał, mając iść do odejścia, wpadł zdyszany góral poczynowiecki i oświadczył, że stojąc na straży od strony Łuczyny, zobaczył wojsko, sunące gościńcem. Wszyscy byli na to przygotowani, wszyscy wiedzieli, że wojsko nie może ich pominąć, a jednak nagła wiadomość wywarła na niektórych wrażenie wprost wstrząsające, a wszystkich wzruszyła.

— W imię Boga, Pana zastępów! — zawołał stary Szerłowski.

— Pódźcie, przyjaciele, pódźcie wartko! — wzywał Maciej, przestępując próg.

Tłum pogarnął się za nim.

Pomimo wczesnej godziny rannej, nikt już nie spał we wsi. Wiadomość o zbliżaniu się wojska przeleciała ją wszerz i wzdłuż. Zewsząd wybiegali ludzie: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy i młodzi. Plac roił się już gwarnym tłumem, gdy nadciągnął z wójtowstwa zbrojny hufiec górali. Prowadził go Przybek z rozwiniętą chorągwią w ręku. Powiewała ona znowu radośnie w przejrzystem powietrzu rannem, bo niebo przez noc było się wypogodziło i nastawał cudny dzień letni.

— Wojsko już nadciąga! — zawołał Przybek. — Idą, aby chytać chłopów, a niewiasty znieważać. Jeżeli chcecie im się poddać — uczyńcie to! Ba my, cośmy są z Ujazdu i Drażenowa, nie poddamy się!

— I my nie! I my nie! — ozwały się zewsząd wołania, a w zgodnym chórze nie brakło też i niewieścich głosów.

— A więc jeżeli tak, z pomocą bożą każdy na swoje miejsce! — zakomenderował Przybek.

— Baby i dzieci precz, do chałup! — wołał Szerłowski. — Przystrojcie tam wszystko na drogę, a w razie nieszczęścia zadnim przegonem w las! Hań czeka nas wolność!

Nagle wszystkie głosy we wsi umilkły, a ludzie skamienieli. Doleciał ich wark bębnów i jękliwy głos trąby polowej... Przybek opamiętał się pierwszy i po wydaniu rozkazu, aby zaczekano nań tu, na placu, — poskoczył na zwiady ku wyjściu, obecnie zatarasowanemu. Obaj Szerłowscy i kilku innych gazdów z Poczynowic pośpieszyło w ślad za nim. Od pierwszego rzutu oka poznali, że wojsko liczne. Otaczało ono wieś od wschodu i osaczyło gościniec. Jeźdzcy przesuwali się tam i ówdzie, a rozkazy, wydawane gromkim głosem, leciały od posterunku do posterunku, dobiegając wioski.

Wtem kilku jezdzców pomknęło ku nim i przystanęło przed zabarykadowanem wejściem, a jeden z nich począł mówić. Co powiedział, Przybek i Szerłowscy powtórzyli wiernie na placu, a jednem tylko przemilczeli, a mianowicie o tem, że Lhota już się zdała również na łaskę i niełaskę.

Warunki, podane przez oficera, były następujące: wioska ma wnet otworzyć im wrota i wszystkie przejścia, — mężczyźni muszą złożyć broń i wydać wszystkich obcych z pomiędzy siebie, zwłaszcza zaś Macieja Przybka z Ujazdu, prócz tego dla tem większej pewności i rękojmi wójt wraz z dwudziestu gazdami ma się zaraz udać do obozu wojennego i prosić tam o przebaczenie.

— Czy po to pójdziemy, aby nas do haresztu wzieni? — oburzył się któryś gazda.

— I obwiesili, jako rebeljantów? — dokończył inny.

— Ja hań nie pódę — oświadczył stanowczo stary Szerłowski.

— Ja także nie! — wołali inni, jeden po drugim, a w gwarze, który stąd powstał, słychać było głosy kobiet, wzywających mężów, aby nie żebrali zmiłowania, aby się nie poddawali...

— Jesteśmy, jakoby w paszczy, wojsko opasało nas dookoła...

— Wielgie rzeczy — przebijemy się!

— Za mną, wartko! — wołał Przybek.

(C. d. n.)

Z Włoch.

Najnowszy utwór poetycki Gabrjela D' Annunzio „Pieśń o Garibaldim“ (Canzone di Garibaldi) jest — a przynajmniej jak dotąd jeszcze ma być — dziełem, zamierzonem na miarę Fidjasza — Iljadą wielkiego bohatera narodowego Włoch. Z siedmiu pieśni, które będą składały całość poematu - dotychczas wyszła jedna, trzecia z rzędu p. t. „Noc na Caprerze“. Treścią jej — szereg wizji, przesuwających się podczas bezsennej nocy przez duszę Garibaldiego, wspomnienia dokonanych czynów i rozmyślania o losie ojczyzny, wodza, który powrócił ze zwycięskiej wyprawy na Królestwo obojga Sycylij — na wyspę. Napisana pięknym, czystym, jak kryształ, językiem, a pełna ognia niepospolitego, pieśń ta każe żywić wielkie nadzieje co do całości dzieła.

Poeta odczytywał ją sam w wielu miastach włoskich, a przedewszystkiem w Medjolanie, dokąd był zaproszony dla wygłoszenia mowy podczas uroczystości otwarcia uniwersytetu ludowego. Wszędzie przyjmowany był entuzjastycznie. Pieśń o Garibaldim, oda na śmierć Verdiego, wreszcie niedawne pierwsze przedstawienie na scenie włoskiej (w Medjolanie) pięknego dramatu D' Annunzia p. t. „Miasto umarłe“ — z takimi aktorami jak Zacconi i pani Eleonora Duse — w rolach głównych, sprawiają, że imię jego jest dziś we Włoszech na wszystkich ustach. Odważając się na paradoks, można by powiedzieć, że po Sienkiewiczu on jest dziś najpopularniejszym autorem we Włoszech... Owacyjne przyjęcia, jakie go spotykają - wynagradzają mu w części niepowodzenie zeszłoroczne podczas wyborów parlamentarnych.

Zaburzenia na uniwersytetach i w miastach rosyjskich zbyt pospiesznie może odmalowywane przez większość prasy włoskiej, jako istotny ruch rewolucyjny, wywołały manifestacje antirosyjskie studentów w kilku miastach włoskich. Przedewszystkiem w Rzymie kilkuset studentów zebranych na jednym z placów publicznych wyraziło swą żywą sympatję dla kolegów rosyjskich, oraz oburzenie względem zwierzęcego postępowania rządu. Przemawiał na wiecu tym deputowany do parlamentu — Bezenini. Miano zamiar urządzić manifestację pod oknami ambasady rosyjskiej, ale uspakajające przemówienie deputowanego, a głównie deszcz, stanęły temu na przeszkodzie. Inny charakter przybrała manifestacja antirosyjska na uniwersytecie neapolitańskim. Tam — w murach uniwersytetu w hałaśliwy sposób — protestowano przeciwko... wyklęciu Tołstoja przez synod. Pisma włoskie przypuszczają jednak, że głównym powodem był w danym razie nietyle bezwzględny podziw dla autora „Niewolnictwa współczesnego“ — (na którego włoski przekład, mówiąc nawiasem, prokuratorja nie zezwoliła) — ile chęć spieszniejszego zamknięcia uniwersytetu przed ferjami wielkanocnymi. Świeżo odbyła się manifestacja antirosyjska w Medjolanie, w murach politechniki z udziałem przeszło tysiąca studentów.

Stanowisko prasy włoskiej w ogóle jest względem studentów rosyjskich bardzo przychylne. Zaznaczyć należy, że, mówiąc o caracie, pisma włoskie zawsze przypominają prześladowania Polaków. Tak samo, zamieszczając z powodu zamachu Łagowskiego sylwetki Pobiedonoscewa — prasa włoska stale zaznacza jego zwierzęcą nienawiść do nas.

Tegoroczna wiosna włoska opóźnia się, narażając na niemiły zawód tych, którzy tu tłumnie zjeżdżają z północy po słońce i ciepło. Mówiąc o przyjezdnych, należy zaznaczyć, że bawi obecnie we Włoszech Henryk Sienkiewicz z córką. Był w Pegli pod Genuą i po kilkudniowym pobycie wyruszył stamtąd do Bordighery.

P.

Z pism i książek.

(*St. Tarnowski — Józef Szujski jako poeta. Kraków. Nakład G. Gebethnera i spółki, 1901.*)

O Szujskim wydał hr. Tarnowski. jako jego przyjaciel i wielbiciel, sporo już publikacji. Wspomnieć tu można choćby „Szujskiego młodość“, ogromny życiorys i olbrzymie wyjątki dzieł w szkolnych wypisach, (nawet ze szkodą innych, również poważnych, a może i większych nawet pisarzy) i cały szereg artykułów po różnych czasopismach, podręcznikach, dziełach literackich i t. p. Wydaje się, jakby hr. Tarnowski za cel swego życia uważał spopularyzowanie tak bliskiego mu przekonaniami pisarza, jakby chciał koniecznie wynieść go do rzędu geniuszów narodowych. Czy się mu to udało, dowodzi następujący, gorzki ustęp ze wstępu do dopiero co wydanej pracy p. t. „Józef Szujski, jako poeta“: „Poeta jest mniej głośny... dramata rzadko okazywały się na scenie, a zawsze tylko z warunkowem, niezupełnem powodzeniem. Zbiorowe wydanie, kiedy wyszło po śmierci autora, spotkało się z budującą, jednomyślną obojętnością publiczności i krytyki, tam gdzie było znanem, gdzie indziej wcale znanem nie było... właściwa poecie, nieraz trudna forma przeszkadza niejednemu do zasmakowania w treści. Uprzedzenia mogły także dorzucić swój grosz, do tej składki na nieznajomość Szujskiego, dość, że składka udała się świetnie i autor „Jadwigi“ etc. jest czytającej publiczności prawie obcym“.

Z tem jednakże „vox populi“, który ocenił już Szujskiego i należyte mu miejsce w literaturze wyznaczył, usiłuje hr. Tarnowski walczyć dalej, a rezultatem tej walki jest niniejsza praca, obfitująca jak zwykle w zalety pióra jego pod względem języka i stylu.

Czy ta praca wyda pożądane owoce i postawi Szujskiego jako poetę obok wieszczów, o tem zdaje się i sam hr. Tarnowski wątpi, pomimo, że ze zbiorowego wydania dzieł Szujskiego wydrukował tu po raz drugi ogromne wyjątki poetycznych utworów swego przyjaciela.

F. Jaw.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.